



You have downloaded a document from
RE-BUŚ
repository of the University of Silesia in Katowice

Title: Odwrócona perspektywa : Mała Ameryka Haliny Poświatowskiej

Author: Mariusz Jochemczyk

Citation style: Jochemczyk Mariusz. (2015). Odwrócona perspektywa : Mała Ameryka Haliny Poświatowskiej. W: M. Jochemczyk, M. Kokoszka, B. Mytych-Forajter (red.), "Balaghan : mikroświaty i nanohistorie" (S. 99-107). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Mariusz Jochemczyk

Uniwersytet Śląski

Odwrócona perspektywa Mała Ameryka Haliny Poświatowskiej

nie najładniejsza rzecz ta Ameryka

H. Poświatowska: *List do matki*

Etymologia późnołacińskiego słowa *sanatorius* („uzdrawiający”) pozostaje w ścisłej łączności z innym łacińskim leksemem *sanatio* („uzdrowienie”), który z kolei prowadzi do bezokolicznikowej formy *sanare* („leczyć; uzdrawiać”), a ta nieuchronnie — do innego słowa, dającego ostateczne poczucie szczęścia nie tylko lingwistom: *sanus* („zdrow”)¹. Jeśli zgodzimy się (a nie będzie to trudne!), iż wymieniony ciąg łacińskich terminów tworzy spójne pole semantyczne, na którym wzrosnąć mogło swego czasu również polskie, najbardziej mnie tu interesujące, słowo „sanatorium” — to musimy także przystać na to, że wskazany łaciński źródłosłów i jego (przywołana) polska emanacja w najlepszy możliwy sposób opisują jednostkowe doświadczenie poetki, o której chcę tutaj mówić. Pragnienie zdrowia, marzenie o wyzwalającym z lęku ustąpieniu symptomów przewlekłej choroby, a także dolegliwy przymus przebywania w ratujących życie lecznicach i uzdrowiskach — oto węzłowe punkty biografii Haliny Poświatowskiej. Nie chcę w tym miejscu oczywiście rekonstruować szpitalnej odysei pisarki ani tym bardziej stworzyć jakiegoś osobliwego „fragmentu dyskursu medycznego”².

¹ Etymologiczny ciąg sporządzony na podstawie: W. Kopaliński: *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*. Warszawa 1971, s. 665 oraz <http://www.sloownik-online.pl/kopalinski/41A72825A793B465C12565890011E194.php> [dostęp: 7.08.2015].

² Robiono to już wielokrotnie i na różne sposoby w biograficznych opracowaniach — ostatnio w ciekawej książce Kaliny Błażejowskiej zgromadzono również wiele interesujących, „medycznych” faktów. Por. Eadem: *Uparte serce. Biografia Poświatowskiej*. Kraków 2014.

Interesować mnie będzie przede wszystkim spojrzenie na trzyletni pobyt Haliny Poświatowskiej w Stanach Zjednoczonych (1958–1961) jako na swoisty czas żmudnej rekonwalescencji, osobiwie wydłużony interwał uporczywego nawrotu do życia po zwycięskiej, dramatycznej rozgrywce z losem (operacja na otwartym sercu w filadelfijskim Hahnemann Hospital). Co ciekawe, oznaki „sanatoryjnego” spowolnienia życiowego tempa i refleksyjnego, anachoretycznego w swej naturze odosobnienia, odsunięcia się od głównego nurtu zdarzeń — jawią się jako nieoczywiste punkty na mapie prywatnej (ale i twórczej) egzystencji. Moment „pooperacyjny” to wszak czas narastającego witalistycznego entuzjazmu („trzeba się będzie uczyć tego zdrowia”³), niezrozumiały dla otoczenia wykwit szalonego pragnienia studiowania, powracająca chęć eksploracji Ameryki, odkrycia jej utajonych smaków i powabów („miałabym ochotę obleźć tę Amerykę w kółko”; L, 95). Bulimiczny apetyt „na życie” zdaje się nie mieć miary: „i ciekawa jestem i oglądać lubię wszystko — do kina łązę i do muzeów, i do cyrku — bo cyrk bardzo lubię [...]” (L, 143). Wydaje się, iż Poświatowska bezrefleksyjnie połyka przynętę, jaką kusi wszystkich przyjezdnych słodka obietnica *the american way of life*:

A teraz połknęłam haczyk — teraz mi trzeba mnóstwo przestrzeni — mijających drzew — reklam — świateł. Teraz chcę patrzeć oczyma — dotykać i chodzić. Chcę się włóczyć [...]. Ładna jest Ameryka — poza wszystkim powietrze ma dobre i nigdy nie bywa duszno jak w naszym małym kraju. Perspektywy ma takie ogromne, więc jakżebym mogła nie odczuć tego, nie ocenić i nie chcieć poznać.

L, 134

Zapamiętajmy owo przeciwstawienie „Wielkiej Ameryki” ogromnych perspektyw — „małemu krajowi” pochodzenia. Przywołane przymiotniki nie ulegną nigdy w twórczości Poświatowskiej łatwej procedurze symetrycznego odwrócenia, tym niemniej jeden z nich zmieni na stałe miejsce w syntaktycznym ciągu orzekania. Ale o tym — za moment.

Tymczasem kompulsywna żarłoczność wrażeń („postanowiłam zostać po tej stronie Oceanu, dokąd nie zaspokoję nowego głodu”⁴) sprawia, że jej życie — na pozór — gwałtownie przyspiesza. Wbrew oczekiwaniom, niepomna ostrzeżeń rodziny — a także zaprzyjaźnionych

³ H. Poświatowska: *Listy*. W: Eadem: *Dzieła*. T. 4. Red. M. Rola, M. Porębska. Kraków 1998, s. 81. W dalszej części szkicu stosuję skrót L i podaję numer strony.

⁴ H. Poświatowska: *Opowieść dla przyjaciela*. W: Eadem: *Dzieła*. T. 3: *Proza*. Red. i nota wydawcy M. Rola. Kraków 1998, s. 101. W dalszej części, oznaczając niniejsze wydanie, operuję skrótem OP i podaję właściwy numer strony.

Wittlinów — uzyskuje stypendium prestiżowego Smith College. Dzięki tytanicznej pracy wprawia w konfuzję profesurę tej elitarniej żeńskiej uczelni (ta, która, przyjeżdżając do Stanów, nie znała języka — po pierwszym roku studiów uzyskuje spektakularne wyróżnienie władz college'u⁵), sukcesywnie poszerza pole swych naukowych poszukiwań: filozofia, politologia, fizyka⁶, dramaturgia Szekspira, metodologia nauk, etyka, język francuski i niemiecki.

Zachłannemu gromadzeniu wiedzy towarzyszy „równoległy apetyt” na amerykańskie widoki i krajobrazy. Najpierw te najbliższe — nowojorskie. Jawi jej się Nowy Jork, w osobliwej wariacji-fantazji (L, 182), jako gargantuiczne miasto-organizm, pulsujący życiodajnie twór — pocięty siatką arterii i neuronów:

Lubię to miasto [...]. Takie ogromne, hałaśliwe, świecące, z takim blichtrzem, z taką tkanką z żywego mięsa, unerwione, z mnóstwem ciemnych żył, wypełnionych krwią. Żywe.

L, 182–183

Kondensacja miejskiej tkanki każe jej — w innym epistolograficznym fragmencie i przy użyciu innych metafor — myśleć o Nowym Jorku jako o „najbardziej nabrzmiałym miejscu świata”, dziwnym „spiętrzeniu kamieni”, dającym wrażenie „szpetoty, którą zaczyna się lubić” (L, 184). Owo „polubienie” ma związek oczywiście nie tylko z architektonicznym „spiętrzeniem”, ale przede wszystkim z jakąś trudno uchwytną aurą skompresowanego, zgęszczonego potencjału życia: „gdyby psychiki wytwarzały jakąś atmosferę, to tu byłaby najgęściejsza” — napisze do Tadeusza Śliwiaka (L, 124).

Szybko znajdzie Poświatowska swoje ulubione nowojorskie miejsca, punkty, kryjówki, pasáže, dzielnice, kwartały. Szczególnie upodoba sobie artystowskie Greenwich Village i wyzywająco biedny Harlem. Pociąga ją „inny New York” — kameralny, dekadentcki, „jazzowo” pulsujący, somatyczno-zmysłowy:

Ulice dużo węższe niż w centrum i światła nie tak natrętne. Po obu stronach ulic niewysokie trzy- i czteropiętrowe kamieniczki, strome

⁵ Podobnie rzecz miała się rok później — odpowiednią adnotację o sukcesach naukowych i fotografię Poświatowskiej zamieszczono w uczelnianym piśmie. Wspomina o tym Stanisław Mygowa w jednym z listów do Ludmiły Waluszewskiej: „W Smith College wydali gazetę o osiągnięciach uczennic za rok 61, Halka jest na pierwszym miejscu ze zdjęciem i opisem swoich osiągnięć”. Por. „Ja minę, ty miniesz...”. *Wspomnienia o Halinie Poświatowskiej*. Zebrała i oprac. M. Pryzwan. Warszawa 2008, s. 55.

⁶ Krótka charakterystyka trzech pierwszych, wybranych przez Poświatowską kursów: OP, 121.

schodki z balustradą prowadzą do wejściowych drzwi. Na niskich parterach mieszczą się liczne kawiarnie, warsztaty rękodzielnicze i pracownie malarskie, w których za kilkadziesiąt centów można nabyć swój własny portret. Neonowe szyldy przywabiają tłum krążący w oparach tytoniowego dymu, w smugach światła przenikającego na ulicę z otwartych zapraszająco drzwi. W małych kawiarniach wielcy, masywni Murzyni grają tak lekko, tak boleśnie, jak gdyby wodzili smyczkami po otwartych żyłach. Instrumenty przyzywają, budzą uśpione mięśnie, dźwięk przesuwają się po rozgałęzieniach nerwowych, pełnią wzdłuż kręgosłupa i ciepłą zaborczą falą zalewa mózg.

OP, 114–115

Kusi miasto „czystego żywiołu”, niczym nieskrępowanej ekspresji otwierającej przymknięte „drzwi percepcji”. Nęci „dzielnicą włóczęgów”, żyjąca w rytm „murzyńskiej perkusji”:

W niskich, przyćmionym światłem wymoszczonych barach mieszka alkohol kolorowy i chłodny. Rozkołysany w przezroczystym szkle, w zetknięciu z ciałem eksploduje, ogarnia myśli. Pałą się i nikną, a ich miejsce zajmuje czysty żywioł, czysta tęsknota. Tlą się myśli, alkohol w żyłach człowieka dokonuje cudownych przeobrażeń, krew zakrzepła w formy rozsądku zamienia z powrotem w srebrną, żywą pianę, geometryczne bryły umysłów odkształca w elastyczne tworzywo. U progu zamroczenia człowiek powraca do tego, czym był wiele istnień wstecz: do obietnicy, do zapowiedzi ludzkości. Wszystko w nim jest możliwością jedynie, pragnieniem krótkim, spalającym się w swej intensywności, nie mającym się spełnić nigdy i w niczym. [...] Nad ranem Greenwich Village, wyczerpana ostatecznie, zasypia krótkim, gorączkowym snem. Dopóki jednak podniecone głosy rozbrzmiewają w ulicach, dopóki oczy błyszczą i długie kolczyki chwieją się poza mętnymi szybami kawiarni, dzielnicą włóczęgów żyje i jej serce uderza w takt najszybszej murzyńskiej perkusji.

OP, 115–116

Chętnie zapuszcza się też w tłumne, „pstrokate” zaułki Harlemu – somnabulicznej dzielnicy, toczącej swój uboczny, mało metropolitalny żywot:

Czerwonobrunatne, nieotynkowane budynki, okna często pozbawione szyb, bezdrzewne ulice pokryte warstwą kurzu i śmieci. Lubiłam tam chodzić pośród ciemnego tłumu. Wymijałam pstrokato ubrane Murzynki ciągnące za sobą małe dzieci. Białka ciemnych oczu błyskały spod długich rzęs, kręte włosy sterczały, śmiesznie zaplecione w dziesiątki cienkich warkoczyków. Przechodziłam obok masywnych Murzynów, zgarbionych lekko Murzynów, w ich spojrzeniach, obo-

jętnie przesuających się po mojej twarzy, wyczuwałam świadomość narzuconego im piętna. Chodziłam pośród nich i pomimo brudu, pomimo kurzu, który podnosił się w słońcu i wspinał na wysokość twarzy, czułam, że przynależę tu bardziej, niż do eleganckiej Piątej Alei w okolicy Metropolitan.

OP, 117–118

Przychodzi tu także nocą — zwłaszcza po upalnych wakacyjnych dniach — w drodze ku bulwarowi Riverside Drive, na którym lubi przesiadywać do świtu, kontemplując⁷ spokojny nurt Hudson River:

Rojne ulice Harlemu nie pustoszały i w nocy. Nagrzane słońcem mury domów promieniowały, lepkie powietrze nie pozwalało zasnąć. Murzyni snuli się w żółtawobiałym świetle neonowych latarni, leżeli na pożółkłej trawie nielicznych skwerów, siedzieli na progach domów. Przechodziłam obok nich zdążając ku Riverside Drive położonej nad Hudsonem. Na tej ulicy zwarta ściana budynków wznosiła się tylko z jednej strony, z drugiej — zamkniętej bulwarem — delikatny powiew przynosił chłodniejsze powietrze znad rzeki.

OP, 118

W stosunkowo krótkim czasie Poświatowska eksploruje oczywiście także przestrzenie nieco bardziej odległe: „liściaste lasy New Jersey” (OP, 107). Podróżuje przez „zębatą i górzystą” Pensylwanię i rozlewne płaskowyże Ohio, dociera do Cleveland (L, 153), odbywa „obowiązkową” wyprawę nad jezioro Erie i Niagarę (L, 155), w Bostonie wizytuje Weintraubów (L, 218), odpowiada na zaproszenie dyrekcji college’u i wyjeżdża nad Silver Lake, nad malownicze jezioro położone w kotlinie gór New Hampshire. Pod koniec amerykańskiego pobytu, niezwykle podekscytowana — w towarzystwie czterech uczelnianych koleżanek — wyrusza jeszcze samochodem na podbój południowo-wschodnich stanów (OP, 157 i n.). Poprzez Connecticut, Pensylwanię, Maryland, „wiśniowo-czereśniowy” Waszyngton, Wirginię i Georgię dociera do „cichego i dziwnie pięknego w swojej podzwrotnikowej oprawie” (OP, 163) Savannah — „miasta-mirażu” pełnego „wysmukłych palm, rozłożystych agaw i krzewów kwitnących fioletowo” (OP, 163), a następnie do położonego na Florydzie: Jacksonville — miejsca solarnego wytchnienia i świętych ludzi⁸.

⁷ Doświadczenie ujęte w gnomiczną formułę: „[...] patrzeć na Hudson, myśleć. Nie zapisywać” (L, 183).

⁸ Taką jawi się jej Claire Lashley, prowadząca ciche i pokorne życie matka jednej z amerykańskich towarzyszek wyprawy (OP, 166–176). Na niezwykle, „odrealniony” walor postaci zwraca uwagę Grażyna Borkowska: „Postać pani Lashley przypomina bohaterkę Virginii Woolf, Mrs. Ramsey. Obie są źródłem światła, spokoju i mi-

Myliłby się jednak ten, kto w pocztówkowym, migotliwym kalejdoskopie zaprezentowanych obrazów doszukiwałby się rzeczywistej diagnozy amerykańskiego doświadczenia autorki *ody do rąk*. Jak celnie zauważa Grażyna Borkowska:

Kontakt z wielokulturową przestrzenią Ameryki nie otworzył Poświatowskiej na inność; przeciwnie, coraz szczelniej zamykała się w własnym kokonie – odrębności, wyłączności, cierpienia⁹.

„Poświatowska” głodna Ameryki, namiętnie ją „pochłaniająca” (w podróżach, w przyjaźniach oraz konsekwencjach osobistych wyborów) i „Poświatowska” statycznie, „chłodno” o niej myśląca – oto dwie różne osoby. A nawet: dwa różne stanowiska poznawcze. To pierwsze – nazwijmy je: kinetyczne – odwołuje się do „wiedzy ciała”, wprawionego w ruch przyjaznym impulsem uczestnictwa, empatii, czulej obecności (lub przeciwnie Kolumbowym imperatywem: podboju, eksploracji, epistemologicznej konkwesty). To drugie – nazwijmy je: syntetyczne – opiera się na chłodnym, intelektualnym, krytycznym opracowaniu optycznie zgromadzonego uprzednio materiału niejako *ex post*: w półmroku studenckiego pokoju, w azylu wakacyjnego hotelu, w chłodzie kampusowej izolacji, w zaciszu alkowianego „posterunku”. Imigrantka z biednej PRL-owskiej rzeczywistości zadziwia arystokratyzmem nieco wyniosłej i – zważywszy na faktyczne okoliczności przyjazdu – „pozbawionej wdzięczności” postawy¹⁰. Niedawna mieszkanka reżimowej prowincji – za nic ma zdobycze konsumpcyjnego, ale przecie także demokratycznego świata:

Poza bardzo nielicznymi wyjątkami, właściwie nie znajdziemy w zapiskach Poświatowskiej zachwyty nad materialnym dobrobytem Ameryki. Brak opisów supermarketów pękających w szwach od towarów, a więc tego, co na ogół uderzało przybyszów ze wschodniej Europy (o wspaniałych sklepach pisała w listach do Andrzejewskich Janina Miłoszowa). Być może skrajna niepraktyczność Haliny zadecydowała o niewrażliwości na ten aspekt zachodniego życia. Nie interesowały jej sklepy, rozdawała otrzymane ciuchy i kosmetyki, jadła co popadło [...]”¹¹.

łości”. Por. Eadem: *Nierozważna i nieromantyczna. O Halinie Poświatowskiej*. Kraków 2001, s. 87.

⁹ Ibidem, s. 86.

¹⁰ Poświatowska ma tego pełną świadomość. Swą postawę definiuje w animalnej metaforze metamorficznego węża: „Jestem jak mały wąż, którego traktują troskliwie, ale który potem rośnie i robi się niebezpieczny”. Por. „*Ja minę, ty miniesz...*”, s. 105.

¹¹ G. Borkowska: *Nierozważna i nieromantyczna...*, s. 63.

Korzystając z rozpoznań monografistki, dodajmy, iż

nie fascynuje Poświatowskiej także miejskość Ameryki, jej rozmach architektoniczny i motoryzacyjny. Obrazy nowojorskich „drapaczy chmur” poetka równoważy wspomnieniem amerykańskich przedmieść: sennych, spokojnych, a własne „spieszenie” przeciwstawia powszechnemu, a więc i zwyczajnemu sposobowi poruszania się *by car*¹².

Można odnieść wrażenie, że ogólne prawa rządzące życiem i działalnością pisarską Poświatowskiej określone przez Beatę Morzyńską-Wrzosek („na początku twórczości demonstrowała przemożną chęć zjednoczenia ze światem, potem obcość, dystans, poczucie osamotnienia”¹³), znajdują także praktyczne zastosowanie w opisie „doświadczenia amerykańskiego”. Wstępne zainteresowanie Ameryką — zastępuje krytyczny dystans, początkową empatię — ironia, radosne poczucie uczestnictwa — likwiduje uporczywe osamotnienie. Wracają dawne nawyki izolacionistyczne, świetnie zdefiniowane przez wspomnienia z dzieciństwa: „mój świat stał się tak czworokątny, jak ściany pokoju i tak skończony, jak przestrzeń wypełniająca ściany” (OP, 35). Implozywne pokusy zrywania łączności ze światem, sanatoryjne przyzwyczajenie do ascetycznych praktyk samotniczych — finalizują się w konkretnych modelach zachowań: separacji w studenckim pokoju, pracy w przestrzeni ograniczonej brzegami łóżka, odosobnienia w hotelowym ustroniu na nowojorskiej Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, wizytach w „Departamencie Druków” Metropolitan Museum of Art.

Zawężona (zdystansowana) perspektywa rzeczowego oglądu, sprawa, iż uwaga „zacieśnia się do małego dusznego kółka najmniejszych wydarzeń” (L, 216). Tak, „mikrologicznie”, nakierowane oko postrzega Amerykę w niezwykle krytyczny sposób. Jako kraj nużącego pragmatyzmu i dusznego komfortu:

Ci ludzie są ładnie urządzeni w życiu — zabudowani w życiu — mają zawód, dzieci, dom, auto, telewizję. Koniec. Wszystko inne zlekceważą — która to forma reakcji jest mordercza, bo przekreśla wszelkie dyskusje. I to cięży, i chcąc nie chcąc, czujesz się jakoś pusto — samotnie — nieprzydatnie. I nawet nie bardzo możesz pogardzać, bo oni są mądrzejsi. Praktycznie mądrzejsi [...]. My, ze swoimi zasranymi kompleksami — z niepokojem, bądź co bądź twórczym — możemy się wleć na piechotę z wywieszonym ozorem po tych gładkich szosach.

L, 95

¹² Ibidem.

¹³ B. Morzyńska-Wrzosek: „zawsze byłam tu...”. *Kreacja czasu i przestrzeni w liroyce Haliny Poświatowskiej*. Kraków 2004, s. 181.

Wytyka kulturze miejscowej powierzchowny optymizm, pozorność i prowizoryczność relacji, dekonspiruje jej „fasadową” naturę:

Idę do domu, mam gdzieś Amerykę. Kraj, w którym fasady są także od tyłu. Gdzie nie popatrzysz — pomalowana fasada — oni mówią, że to rzeczywistość taka dobra — ale to nieprawda, oni się nie potrafią dogrzebać do żadnej rzeczywistości — wszędzie poustawiali fasady. Idę do domu — a jednak, a jednak wywiozę ze sobą mądrość, której nie zamierzali mnie nauczyć... Mądrość mojej tęsknoty i mojej naiwności, bezradności.

L, 245

Nawet w awangardowych pierwocinach hipisowskiego buntu początku lat 60. dostrzeże wstydlive znamiona hipokryzji i pretensjonalnej kreacji:

Dziewczęta o rozpuszczonych długich włosach, włosach świątecz krótko noszą obcisłe spodnie i sweterki. Chłopcy troskliwie kudłaci starają się wyglądać jak najbiedniej. Żaden inny strój nie przyciąga tyłu spojrzeń co połatane na siedzeniu spodnie i artystycznie porwany sweter. Przybysze z góry miasta podziwiają sfabrykowane ubóstwo i kultywowany pieczołowicie brud. Niegdyś pełne artystycznych ambicji Greenwich Village skomercjalizowało się; dziś wypełnia tylko zamówienia bogatego odbiorcy, który szuka tu rozrywki i inności¹⁴.

Amerykańskie, miejskie centra rozrywkowe — tu za przykład posłuży „największy lunapark New Yorku”: Coney Island — gromadzące tłumy spragnione taniej rozrywki, opisze detalicznie jako współczesne pandemonia, infernalne krainy zanurzone w otmętach potępieńczej kakofonii:

To miejsce jest wszystkim, co umysł ludzki zdołał wymyślić przeciw sobie [...]. Poruszające się mechanizmy skrzypią, z instrumentów wydobywają się hałaśliwe dźwięki, makiety ranią oczy krzykliwymi kolorami. Technika sprzymierzona z najprymitywniejszymi upodobaniami wyprodukowała *elephantiasis* brudu, gwaru i tłoku. [...] Przechodzę pod zawrotnie wysokim diabelskim młynem, mijam złowrogi tunel — wydobywają się stąd wyjątkowo nieprzyjemne dźwięki, pawilon katastrof — małe samochody zderzają się z hukiem ku uciesze kierowców i podnieconych widzów. Z kiosków żywnościowych unoszą się obłoki duszącego dymu — smażone kielbaski i gotowana kukurydza rozsiewają nie najwonnejsze zapachy. Idę zaśmieconymi

¹⁴ H. Poświatowska: *Notatnik amerykański*. W: Eadem: *Dzieła*. T. 3: *Proza...*, s. 193.

ulicami [...], po drewnianym pomoście schodzę na plażę. Brudny piasek usłany gęsto ciałami. Małe ciemnowłose Portorikanki kręcą się otoczone gromadami dzieci, co chwila któraś z nich z krzykiem biegnie do wody i wyciąga kilkuletniego szkraba. Płacz dzieci miesza się z hałasem mechanicznych instrumentów, z szumem przybijających do brzegu fal.

OP, 140

W jeszcze innym miejscu, uznany za chlubę Ameryki system kształcenia prywatnego, poznany od podszewki wzorcowy model edukacyjny — określi mianem „najidiotyczniejszej rzeczy na świecie” (L, 201). Wytknie mało kreatywną mechaniczność procedury badawczej i snobistyczny monizm.

Prezentowana tu punktowa „technika oceny”: skompresowana, maksymalnie zawężona (ironią, sarkazmem, słowną krytyczną igraszką) perspektywa oglądu — oto ulubiona strategia poznawcza Poświatowskiej. Przynajmniej ta, zogniskowana na „amerykańską rzeczywistość”. Starannie obrany, zawsze uboczny „posterunek obserwacyjny” to wypróbowany sposób postępowania poetki z Nowym (mało wspnianym) Światem. Tak spogląda na Amerykę pierwszego dnia pobytu — z okrętowego, szpitalnego iluminatora, przez bulajowe okienko „Batorego”. Tak patrzy na Amerykę i „dnia ostatniego”, kiedy unika abiturienckiej fety i chroni się w uczelnianej izolatce, z której ukradkiem — niczym dziecko przez szparę drzwi — obserwuje rozentuzjasmowany tłum, wkraczających w dorosłość absolwentek college’u. Obserwowana z tej azylanckiej, detalicznie skrupulatnej perspektywy Ameryka nigdy nie wyłoni się już jako atrakcyjny „nowy ład”, kraj „ogromnych możliwości” i „ziemia obiecana” Starego Świata. Pozostanie zasobną enklawą duchowego niedowładu, krainą pozornie sytych i szczęśliwych ludzi, nieświadomych symptomów choroby, jaka ich toczy. Li tylko „małą Ameryką” trywialnych kłopotów, wcale sporym splechotkiem ziemi czekającym wciąż na ozdrowieńczą rekultywację, w porządku antropologicznym: rekonwalescencję¹⁵. Dla Poświatowskiej — zbyt dobrze zaznajomionej z tajemnicą człowieczeństwa — prawdziwe życie toczy się gdzie indziej. Ameryka zbyt przypomina jedynie pozór owego życia. Dlatego — może zabrzmie to dziwacznie — odrzuca paszport do widmowego raju, jaki daje stypendium Uniwersytetu Stanforda i (wbrew podszeptom przerażonych ziomków) wraca do Polski...

¹⁵ Ślady owej „ozdrowieńczej rekonwalescencji” widziała Poświatowska w ruchu skupionym wokół postaci Martina Luthera Kinga. Po powrocie do Polski „idei Kinga” planowała poświęcić główne tezy swej dysertacji doktorskiej. W związku z tym zabiegała — skutecznie! — o promotorstwo Profesor Marii Ossowskiej.